

Polonistyka w konspiracji

Wspomnienia Barbary Surzyńskiej-Zakrzewskiej

Miło mi bardzo, że Pani zechciała tu do nas przyjechać i że mogę się z Panią podzielić przeżyciami z okresu tajnego nauczania Uniwersytetu Ziemi Zachodnich¹. Ale najpierw muszę zrobić małe wprowadzenie.

Maturę zdawałam w czasie okupacji, bo przed wojną byłam po czterech klasach gimnazjum, tzw. małej maturze. Zjawiłam się w Częstochowie w 1941 roku po dosyć burzliwej akcji w Armii Krajowej w Lublinie, gdzie byłam dowódcą stacji nadawczo-odbiorczej. Było to stanowisko narażone na duże niebezpieczeństwo. W pewnym momencie, po jakiejś wpadce, osoby, które przynosiły szyfry do nadawania audycji, zostały w sposób wyraźny zagrożone. Wobec tego dostałam rozkaz z Armii Krajowej, żeby zmienić nazwisko z Barbara Surzyńska na Jadwiga Pietrzak i udać się do Częstochowy. Następny rozkaz był taki, że nie wolno mi nawiązywać już żadnych kontaktów z Armią Krajową, tylko raczej zająć się nauką, robieniem matury.

Przybyłam zatem do Częstochowy pod zmienionym nazwiskiem: Jadwiga Pietrzak i znalazłam się w przedwojennym gimnazjum „Nauka i Praca”, które było prowadzone przez trzeci zakon, o ile wiem – tutaj mogę się pomylić – franciszkański albo dominikański². Był to zespół bardzo ciekawych osób. Panie chodziły po cywilnemu, zawsze bardzo schludne, eleganckie, ubrane raczej w stylu sportowym, tak że właściwie ktoś, kto z nimi rozmawiał, nie bardzo mógł się zorientować, że to są zakonnice. Przed wojną, jak się dowiedziałam od miejscowych częstochowian, gimnazjum było na bardzo wysokim poziomie. Zresztą zdołałam się o tym przekonać po paru miesiącach, kiedy stałam się uczennicą pierwszej klasy liceum humanistycznego, prowadzonego właśnie przez te panie.

Skąd te panie wzięły się w Częstochowie? To było gimnazjum w Petersburgu, jeszcze

¹ Wspomnienia nagrała Elżbieta Lijewska w mieszkaniu pani Barbary Zakrzewskiej we Wrocławiu 27 IX 2013 r. Zdjęcia z czasów okupacji pochodzą ze zbiorów rodzinnych państwa Zakrzewskich. Dziękujemy pani Aleksandrze Solarewicz za pomoc w przeprowadzeniu nagrania. Tekst spisała Joanna Andrzejak. Fot. prof. Romana Pollaka, ze zbiorów Arch. UAM.

² Gimnazjum było prowadzone przez bezhabitowe Zgromadzenie Sióstr Najświętszego Imienia Jezus. Zob. A. Kowalińska, *Zarys dziejów Gimnazjum „Nauka i Praca” w Częstochowie w latach 1918-1939*, „Studencki Biuletyn Historyczny” (Częstochowa) nr 2 (2010), s. 109-121.

za czasów niewoli. W Petersburgu była bardzo dużo Polaków, szczególnie inteligencji technicznej, inżynierów, którzy swoje córki woleli oddać do szkoły polskiej, żeby nie odrywać ich od tradycji polskiej i historii polskiej. Jak się dowiedziałam, to gimnazjum było bardzo dobrze wyposażone, były tam doskonale gabinety. Jak na tamte czasy trochę wyprzedzające epokę.

Gdy byłam jeszcze za czasów komunistycznych w ówczesnym Leningradzie, starałam się dowiedzieć, gdzie to gimnazjum się znajdowało. Niestety, nie mogłam uzyskać żadnych wiadomości na ten temat od współczesnych Rosjan. Natomiast w kościele św. Stanisława, który dziwnym cudem ocalał i funkcjonował przez wszystkie lata komunistyczne jako kościół dla Polaków, dowiedziałam się od proboszcza, że słyszał, iż uczennice gimnazjum „Nauka i Praca” w wielkie święta przychodziły do kościoła na uroczyste nabożeństwa, mimo że miały kaplicę u siebie. Był to jedyny ślad, jaki znalazłam po tym gimnazjum w Petersburgu.

Niestety, czas dobry się skończył, nastąpiła rewolucja, jak wiem z opowiadań naszych pań, gimnazjum zostało doszczętnie zrabowane, zniszczone i budynek przeznaczony prawdopodobnie na jakieś inne cele. Paniom z bardzo niewielkimi zasobami finansowymi udało się uciec do Polski i pierwsze kroki skierowały do Częstochowy. W Częstochowie, po pewnym czasie kupiły dom przy ulicy Jasnogórskiej 30. Ten dom jest dla mnie bardzo cennym, wizualnym wspomnieniem, bo od tego domu wszystko się zaczęło. Zaczęło się tajne nauczanie licealne i tajne nauczanie Uniwersytetu Ziemi Zachodnich. To była główna siedziba.



Gmach gimnazjum „Nauka i Praca” w Częstochowie

Wtedy, gdy ja przybyłam do gimnazjum, dyrektorką była pani Maria Rynkiewicz z zawodu matematyczka, kobieta o wielkich walorach etycznych, ale i ogromnie utalentowana jeśli chodzi o organizację. Kiedyś w rozmowach z najbliższymi zastanawiała się, co począć z młodzieżą, która zdawała maturę, a dalej nie bardzo wiedziała, co z sobą robić. Były to bardzo gorące patriotki, ten zespół pań; liczyły, że kiedyś Polska będzie i ich głównym celem było to, żeby tę młodzież kształcić. A jeszcze miały maturzystów sprzed wojny, z 1938 jakieś poprawkowe matury, i z 1939 pełne klasy maturalne, które zastała okupacja i też nie wiedziały, co dalej robić.

Założono wówczas tajne seminarium nauczycielskie. Takie trzyletnie seminarium lepiej przygotowywało do nauczania niż dzisiejsza pedagogika. Słowo daję. Poziomem było wyższe. Tu na zdjęciu jest pani Rynkiewicz, która uczyła matematyki, tam jest Jan Stoiński, który uczył historii i po wojnie był docentem w Poznaniu na uniwersytecie, na historii. I tam jest moja ciotka, Maria Surzyńska, która była absolwentką konserwatorium w Poznaniu i uczyła teorii muzyki i sztuki chóralnej. Ale to jeszcze nie była szkoła wyższa.

Pod wpływem różnych rozmów, a brał w nich udział także ksiądz Rode, który obiecał ułatwić spotkanie z profesorem Romanem Pollakiem, rektorem tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich, postanowiła pani Rynkiewicz udać się do Warszawy i prosić, żeby urządzać tutaj filię uniwersytetu. Nadmienię tylko, że taka filia była również w Kielcach, ale z tamtą nie mieliśmy żadnych kontaktów. Na warszawskim spotkaniu zapadła decyzja, że uniwersytet powstanie w Częstochowie. Postanowiono, że z miejscowych osób profesor Wacław Kubacki, który mieszkał w Częstochowie, będzie wykładowcą teorii literatury polskiej. Poza tym został mianowany na wykładowcę mgr Józef Wójcicki, który był co prawda profesorem gimnazjalnym, ale skończył Uniwersytet Jagielloński, specjalizował się w gramatyce i był świetnie przygotowany do wykładu z gramatyki historycznej języka polskiego, jak i również z gramatyki staro-cerkiewno-słowiańskiej. Pan Wójcicki miał zamiar pisać z tych dwóch specjalizacji, czy też z jednej, doktorat; jak to się potem skończyło, nie wiem, ale był oddany swojemu powołaniu i bardzo nas pilnował, żebyśmy się uczyli.

Poza tym była też pani doktor Stefania Land, przedwojenna doktorantka profesora Pollaka, która została wysiedlona do Częstochowy wraz z ojcem i ją profesor mianował na wykładowcę. Prowadziła seminaria z literatury staropolskiej, robiła to świetnie, zawsze solidnie przygotowana. Potem były ciekawe dyskusje. No i to, co zawsze sobie ceniłam i cenię u wszystkich wykładowców – zostawiała miejsce dla własnych poglądów, które u studenta, nawet pierwszego roku, zawsze była gotowa bardzo cenić i brać pod uwagę. Kiedy

skończyły się seminaria i dyskusje, robiła *résumé* i mówiła: do tego się ustosunkowuję pozytywnie, ale jeżeli chodzi o pogląd pana X., Y..., może ma pan rację, jeszcze w domu to przemyślę i dam odpowiedź następnym razem. Taką miała mądrą postawę. W Częstochowie było zatem tych trzech wykładowców: Wójcicki, Kubacki i pani Land.

Natomiast profesor Zygmunt Szweykowski, który zajmował się pozytywizmem, *Kronikami* Prusa, był mianowany na profesora zwyczajnego w 1939 roku. Miał objąć katedrę w Poznaniu od 1 października. Wiadomo, gdy wojna wybuchła, nie mógł tej katedry objąć, wobec tego został mianowany profesorem tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich, który był właściwie Uniwersytetem Poznańskim, jak gdyby na emigracji w Generalnej Guberni. Poza tym najważniejsza osoba, profesor Pollak, specjalista literatury staropolskiej, jak już wspomniałam, na stanowisku rektora.



Dom państwa Wójcickich w Częstochowie, Wały Dwernickiego

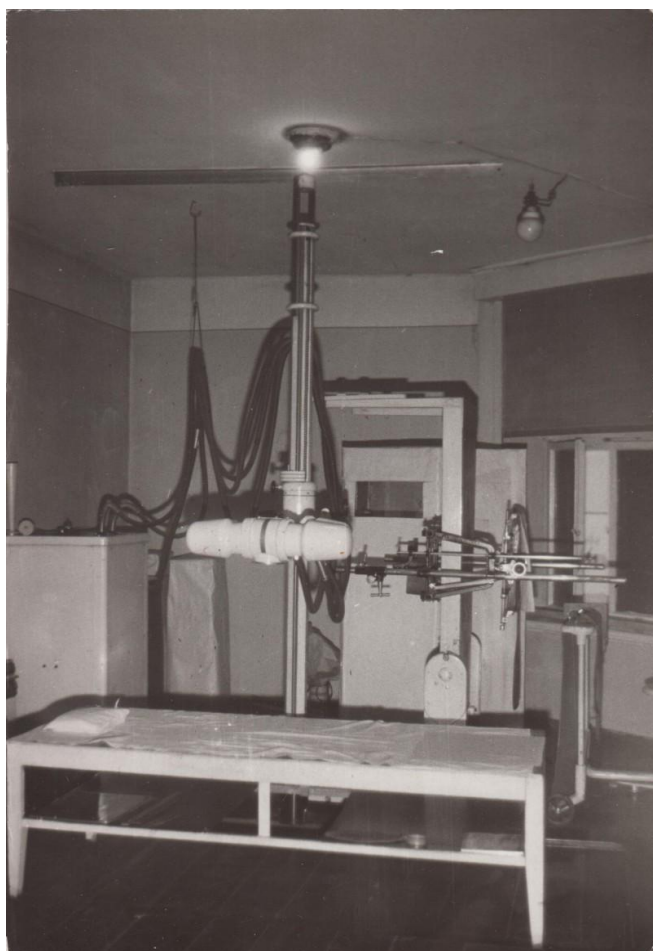
Wykładał też w Częstochowie, choć nie wiem, czy mieszkał tam na stałe, czy dojeżdżał, Zdzisław Kępiński, który wtedy nie był jeszcze profesorem – był magistrem, ale po wojnie doktoryzował się u księdza profesora Dettloffa i został profesorem na historii sztuki w Poznaniu. W czasie tajnych studiów częstochowskich uzupełniał nasze studia wspaniałymi wykładami z historii sztuki.

Seminaria z panią doktor Land odbywały się w domu państwa Nawrockich, niedaleko kościoła św. Barbary, z panem magistrem Wójcickim u niego w domu, i z panem profesorem Kępińskim też w domu pani Nawrockiej. A profesorowie Pollak i Szweykowski przed

Powstaniem Warszawskim co pewien czas dojeżdżali do nas. Mieliliśmy wtedy kilka wykładów podczas takiego dwu, trzydniowego pobytu i u nich zdawaliśmy okresowe egzaminy. Tak to wyglądało organizacyjnie.

Jeśli chodzi o wykłady z polonistyki, to muszę jeszcze jedną rzecz powiedzieć. Zdumiewa mnie, jak wielu było chętnych w czasie okupacji w Częstochowie, aby pójść na polonistykę. Dużo było studentów, którzy pochodzili z Częstochowy. Kilku było takich jak ja, wywiezionych z Poznańskiego. Ale dlaczego było tak dużo z Częstochowy? Ja jeszcze doznałam tego dobrodziejstwa w czasie nauki w liceum – mianowicie, w ramach tajnego nauczania wykladała tam pani Taborowa. To była polonistka, studentka profesora Juliana Krzyżanowskiego w Warszawie, który ocenił ją jako bardzo zdolną osobę i zaproponował jej asystenturę na Uniwersytecie Warszawskim (na pewno pod okiem profesora zrobiłaby tam doktorat). Dostała już nominację i od 1 października miała być czynnym asystentem na uniwersytecie. Podobna sytuacja jak z profesorem Szweykowskim – nie mogła już objąć tego stanowiska. I właśnie u niej miałyśmy lekcje języka polskiego. Z wdzięczności dla niej chciałam poświęcić parę słów tej osobie. Mieszkała daleko, na przedmieściach Częstochowy, była jedynaczką, jak na tamte czasy zamożną, dlatego, że rodzice mieli ogromne ogrodnictwo, które zaopatrywało miasto i inne miejscowości podczęstochowskie w jarzyny, owoce. Chodziliśmy tam na język polski tylko raz w tygodniu, ponieważ trzeba było przemierzyć całe miasto, co w tamtych czasach było dosyć niebezpieczne dla młodych ludzi, i mieliśmy od razu kilka lekcji. Lekcje te były po prostu wspaniałe. Chciałoby się, żeby we współczesnej szkole odrodziła się taka atmosfera lekcji języka polskiego, jak wtedy była. Byliśmy przede wszystkim uczeni ogromnej samodzielności. Pani podawała nam temat, jaki mamy przygotować na następną lekcję. Przed wojną do nauki języka polskiego były dwie książki, tzw. *Mówią wieki*. Jedna książka obejmowała wypisy tekstów źródłowych, a druga była syntetycznym opisem historii literatury. I myśmy z tych wypisów musieli przeczytać oryginalne teksty np. Galla Anonima czy Kadłubka, opowiedzieć, ocenić, wyciągnąć wnioski i to zakomunikować na lekcji. Pani pilnie słuchała i wyrażała swoje zdanie, czy dobrze zrozumieliśmy, czy nie, a na zakończenie wygłaszała wykład. Bardzo sobie ceniła niezależność myślową i to, jeżeli ktoś miał jakiś ciekawy pomysł interpretacyjny. Nawet zdanie ucznia pierwszej klasy liceum potrafiła szanować. To nam się wszystkim bardzo podobało, nauczyło nas na całe życie niezależności w poglądach. Dlatego potem, gdy moje córki chodziły do szkoły w Polsce Ludowej, załamywałam ręce z powodu narzucania poglądów i niszczenia indywidualności. To taka uwaga na boku. I dlatego tyle było chętnych na polonistykę, bo te osoby były przygotowane przez tak znakomitą polonistkę.

Teraz wracamy do przerwane go wątku, to znaczy do tajnego nauczania. Organizacyjnie zręby zostały ustalone i wreszcie nastąpił bardzo uroczysty moment – zaprzysiężenie pierwszego roku polonistyki. Było to niezmiernie wzruszające wydarzenie. Odb yło to się w gabinecie rentgenologicznym pani doktor Maciukiewicz (jej córka chodziła ze mną na komplety historii jeszcze w liceum). Była to osoba niezmiernie oddana ruchowi niepodległościowemu. Robiła zdjęcia rentgenowskie chłopcom z lasu, gdy doznali jakichś złamań czy innych kontuzji. I to tam właśnie, w gabinecie lekarskim, wśród tych rentgenów (mam zresztą zdjęcie), odbyło się nasze zaprzysiężenie.



Gabinet rentgenologiczny dr Maciukiewicz

Był to dzień przyjęć lekarskich, więc ciągle był ruch. Chodziło o to, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Wmieszaliśmy się w ten ruch: po kolei, po jednej, po dwóch osobach wchodziliśmy jeszcze w czasie przyjęć lekarskich. Z bramy wchodziło się od razu do gabinetu. Wmieszani w tłum, po kolei byliśmy wpuszczani do drugiego pokoju, a pacjenci, kiedy nastąpiła godzina zamykania praktyk, gdzieś koło godziny szóstej, już się wycofywali do domu. Nasze przyjście nie zwracało więc uwagi sąsiadów. Wszystko było tak upozorowane, że niby nic się tam nie dzieje. Wracaliśmy do domu, jak już było ciemno.

Zebraliśmy się w koło i w tym kole stanęli profesor Roman Pollak i Aleksander Sroka. Magister Sroka, matematyk, mieszkał w Częstochowie i uczył na kompletach gimnazjalnych, był mianowany delegatem rządu polskiego. Jak wiadomo, wszystkie struktury podziemnego państwa, jak wojsko, AK, sądownictwo, oświata, to wszystko było pod dyktando i patronatem rządu emigracyjnego. Stamtąd przychodziły dyrektywy. I magister Sroka jako delegat rządu polskiego na emigracji był świadkiem naszego zaprzysiężenia. Czytał przysięgę, którą mniej

więcej pamiętam: „Przysięgam, że będę się pilnie uczył, podporządkowywał się zaleceniom wykładowców, pamiętał o tym, że nazwiska, adresy mają być zachowane w głębokiej tajemnicy”. I zakończenie było: „Tak nam dopomóż Bóg”. No i potem powolutku się wycofywaliśmy.

Ale w czasie tej przysięgi nastąpił moment grozy. W pewnej chwili dało się słyszeć gwałtowne bicie do drzwi pięściami. Bardzo ostre. Zamilkliśmy zupełnie. Wszyscy myśleliśmy: gestapo. Wreszcie to powoli ustawało, a jeden z kolegów na czworakach przeszedł po cichutku pod drzwi i skostatował, wyglądając gdzieś przez jakąś szparę, że to był po prostu zwykły pijaczyna, który widocznie pomylił adresy. Ale niemniej zdenerwowanie było ogromne.

Zaczęła się normalna nauka na kompletach pod wskazanymi adresami. Ja miałam naznaczoną przez Profesora taką rolę, że umawiałam godziny wykładów i uzgadniałam miejsca, gdzie się miały odbywać. Jeśli chodzi o historię literatury, to panie Nawrockie były tak serdeczne i mówiły: „a nie zmieniajcie, niech już tu u nas to będzie i koniec”. I tak właściwie było już stale, a zajęcia z gramatyki odbywały się w domu rodzinnym pana Wójcickiego. Umawiałam godziny wykładów, bo czasem na skutek różnych okoliczności rodzinnych, chorobowych czy w ogóle sytuacji w mieście mogły być jakieś przeszkody.

Pamiętam jedną wizytę u pana profesora Kubackiego i jego żony w ich częstochowskim mieszkaniu. Rozmawiam z profesorem, a ich roczna córeczka – takie były czasy, był tam tylko jeden pokój – siedziała na nocniczku. Rozmawiamy, a profesor przerywa i pyta: „Córuś, już”? A ona: „Jeszcze nie”. Profesor zwraca się do mnie: „Pani Barbaro, ja przepraszam, ale to też jest bardzo ważny moment w naszym życiu rodzinnym”. I dalej rozmawialiśmy. Takie to były zwyczaje i stosunki. Żona profesora była polonistką. Dostarczała nam książek z biblioteki szkolnej, z liceum państwowego – to, co dało się uratować. To była bardzo zacna, miła i mądra osoba. Pochodziła ze znanej rodziny częstochowskiej. Nawet biblioteka miejska była imienia jej ojca, dr. Władysława Biegańskiego.

Trzeba jeszcze podkreślić, że częstochowianie byli niezwykle ciepło nastawieni do naszych poczynań edukacyjnych. Nie spotkałam się ani razu z odmową jakiegokolwiek lokalu, przeznaczonego na nasze komplety. Nigdy. Poza tym z wielką serdecznością ofiarowywali książki ze swoich księgozbiorów – komplety Słowackiego, Mickiewicza, Norwida, u polonistów zdarzały się jakieś opracowania literackie. Przecież myśmy nic nie mieli, zaczynaliśmy od zera. Tylko trochę książek było z dawnej biblioteki „Nauki i Pracy”.

Wielką radością dla nas były wykłady pana Zdzisława Kępińskiego. Profesor Kępiński, niezwykle utalentowany stylista, wykladał wręcz rewelacyjnie. Wyświetlał nam na ścianie zabytki zachodniej Europy: Francji, Niemiec, przede wszystkim Włoch, które znał jeszcze sprzed wojny i dokładnie nam je opisywał. Szkoda, że nie zachowały teksty tych wykładów. Dla mnie były zdumiewające, zawsze mówiłam do koleżanek: „Wiecie co, ten nasz Kępiński to on nie mówi, tylko maluje”. „Jak to maluje?” No – mówię – „maluje”. Bo on tak językiem operował, tak opisywał wszystko w szczegółach, plastycznie, barwnie, że mając na planszy wyświetlony obiekt, pod wpływem jego opowiadania miało się wrażenie, że ten obiekt ożywał, stawał się realny.

Już po wojnie złapałam się na tym, że jeżdżąc po Europie z mężem, zawsze mówiłam: „Przecież ja już tu byłam!”. A mąż się dziwił: „Jak to, w okupację?” „No, oczywiście, że byłam – z panem Kępińskim”. Okazało się, że pan Kępiński, wówczas z tym się nie zdradzał, był doskonałym malarzem, malował w duchu impresjonizmu. Po wojnie miał w Poznaniu wystawę swoich obrazów. Potem był na historii sztuki u profesora Dettloffa, który wiedząc, że to taka artystyczna dusza i nie mogąc zmusić go do napisania doktoratu, zamknął go w swoim mieszkaniu na klucz, a gosposia dostarczała mu jedzenie. I mówił: „Chłopie, jak skończysz, to ci otworzę”. I po paru miesiącach pan Kępiński wreszcie skończył ten doktorat, zresztą doskonale napisany.



Od lewej: Bogusław Kopydłowski, Aleksandra Jeszke, Józef Modrzejewski, dr Stefania Land, Maria Nawrocka, Zofia Luboińska, w altanie: Irena Gielzak, Maria Kommender (ogród p. Nawrockiej)

Wracając jeszcze do jego wykładów w czasie wojny. Przewrocza były na stałe u pani Nawrockiej, ale aparaturę do ich wyświetlania przynosił kolega Boguś Kopydłowski. Była tak zapakowana, że wyglądało, jakby niósł wiolonczelę, jak jakiś muzyk, który gdzieś tam w kawiarni występuje. Wtedy kiedy dla Polaków nie było kina, teatru, opery, żadnych kulturalnych przyjemności, to proszę mi wierzyć, że wyświetlanie zabytków z tekstem profesora Kępińskiego były niezwykłym wydarzeniem.

Tu nadmienię o życiu studenckim – byliśmy młodzi, często chciało nam się po pracy zabawić, więc bawiliśmy się, że jesteśmy Radiem Poznań. W jednym pokoju była niby aparatura i koledzy, którzy nagrywali, a w drugim pokoju byli słuchacze. No i zaczynało się: „Halo, halo, tu wolne Radio Poznań, na falach takich i takich, nadajemy dzisiaj kabaret taki i taki”. Pisaliśmy dużo esejów, żartów, różnych śmiesznych scen. I muszę powiedzieć z wielkim smutkiem, że wszystko to zaginęło albo zostało z obawy przed dekonspiracją zniszczone.

Chciałam poruszyć jeszcze jedną ważną sprawę. Jak każda uczelnia obecnie, tak i nasz uniwersytet w czasie okupacji miał duszpasterza akademickiego. Był nim ojciec Polikarp Sawicki, paulin, postać zupełnie niezwykła. Człowiek wielkiej wiedzy, a przy tym ogromnej dobroci. Gdy się mówiło na niego „ojciec”, to miało jakby dwa wymiary: ojciec jako zakonnik i jak rodzony ojciec. Jego zadanie było o wiele trudniejsze niż duszpasterzy obecnych, chociaż nie ujmuję im zasług. Miał studentów także na innych jeszcze wydziałach – ja ogarniam polonistykę, ale przecież wiem, że była farmacja, medycyna itd. Studenci z różnych części Polski, niektórzy zbiegli ze Związku Radzieckiego, niektórzy z Niemiec, z obozów, wysiedleni z Wielkopolski. Opiekę duszpasterską musiał dostosować do ich potrzeb. To byli ludzie pozbawieni domów rodzinnych, z rozbitych rodzin; ojcowie byli na wojnie, a matki zostały same. Ludzie często bez ubrań, nie mający co jeść, nie mający gdzie mieszkać. Jego zadania jako duszpasterza było ogromne.

Poza nauką religii i wykładami, które zresztą były doskonałe (miał je u sióstr zmartwychwstank), dbał o nasz byt codzienny. Wspomagał nas, dawał nam dużo nadziei na przyszłość. Nie wyobrażam sobie przetrwania tego okresu bez pomocy ojca Polikarpa. Wiedząc, że ja tak strasznie tęsknię za moim ojcem, zawsze mi mówił: „Dziecko, ale jaka ty jesteś szczęśliwa, że on gdzieś jest i żyje, a niektórzy nie mają ojców. Kiedyś się twoja tęsknota spełni i będzie ten ojciec”. Co prawda, nie widziałam go dziewiętnaście lat, dość długo, no ale żył.

Doznałam wiele dobroci od ojca Polikarpa, nie tylko ja, ale i inni, kiedy pod koniec

wojny w Częstochowie wybuchła epidemia tyfusu plamistego, przyniesiona przez sowieckich żołnierzy. Prowadzono ich w szeregach przez miasto, do obozu. Niemieckie wojsko ich prowadziło i oni idąc ulicami Częstochowy po prostu zrzucali z siebie wszy, które rozpełzły się po chodnikach, po jezdniach. Wybuchła wówczas ciężka epidemia tyfusu plamistego i brzuszego. To byli jeńcy wojenni, ludzie niesłychanie wynędzniali. O wielkiej dobroci mieszkańców Częstochowy – którzy, wiadomo, że do wojsk radzieckich nie mieli jakiegoś pozytywnego stosunku – niech świadczy ich współczucie i solidarność z poszczególnymi ludźmi. Jak mogli, to wrzucali suchy chleb przez parkan obozu, co zresztą było tępione i narażali się na wiele przykrości.

Gdy byłam ciężko chora i leżałam na oddziale w szpitalu zakaźnym, ojciec Polikarp odwiedzał mnie. To było w maju, przyniósł cały worek suchych pierników, które jeszcze zostały w kuchni klasztornej. I mówi: „Słuchaj, jak już będziesz zdrowa, to sobie mocz to w herbacie, bo one są na miodzie z naszej pasieki klasztornej, to się trochę odżywisz”. No i rzeczywiście tak było. Podczas rekonwalescencji trzeba było dużo jeść, bo to jest tzw. głód potyfusowy. Miałam wagę 48 kg, no i bardzo byłam głodna.

Profesor Roman Pollak, jak już wspominałam poprzednio, przed Powstaniem Warszawskim dojeżdżał na wykłady do Częstochowy, a po Powstaniu przez krótki czas mieszkał tutaj – od czterdziestego czwartego do czterdziestego piątego roku. Profesorostwo ponieśli w czasie wojny ogromną stratę, bo ich syn został w czasie Powstania zabity – bardzo utalentowany chłopak, był też studentem na Uniwersytecie Ziemi Zachodnich. Przyjechali do Częstochowy z bardzo wielkim bólem i właściwie nie mając zupełnie nic. Znalezione im mieszkanie i jakoś się zadomowili, a profesor zaczął na nowo wykłady. Doktor Stefania Land przygotowywała nas na seminaria, a profesor prowadził wykłady z literatury staropolskiej.



Muszę powiedzieć, znając Profesora bardzo blisko, z kontaktów przed Powstaniem i po Powstaniu, że jestem pełna szacunku dla niego. Przecież czasy były tak niebezpieczne i Profesor miał bardzo odpowiedzialne stanowisko w czasie okupacji – w każdej chwili mógł być aresztowany – a on zawsze miał tyle wewnętrznego spokoju i tyle odwagi, że naprawdę swoją postawą dawał nam wielki przykład. Bardzo się narażał, bo przecież miał kontakty konspiracyjne z wieloma ludźmi, przede wszystkim z młodzieżą, która nie tylko studiowała, ale często również działała w AK. Ale darzył ich wielką miłością, przywiązaniem i miał

trochę paternalistyczny stosunek do nich. Po stracie syna jakby całą energię skierował na wychowanie młodzieży.

Mieliśmy też wykłady z profesorem Szweykowskim. Pamiętam, jak kiedyś u pani Nawrockiej, przy kościele świętej Barbary, miał wykład o Prusie. Patrzymy, a on ma policzek zaklejony plastrem. Pytam się: „Panie Profesorze, przepraszam, co się stało?” A to było krótko po wejściu Rosjan, jeszcze mieliśmy jeden wykład u Marysi Nawrockiej. Okazało się, że siedział w swoim mieszkaniu w Częstochowie blisko okna i odprysł kawałek jakiejś broni, kawałek, nie wiem, od granatu czy od czego, i zranił go w policzek. Mówi: „Szczęście, że gdzieś nie wyżej głowy, bo byście o Prusie nic nie słyszeli”. Jakoś mu tam wyleczono tę ranę. No i potem wydał po wojnie *Kroniki Prusa*, prawda? Też był zawsze bardzo sumienny, zawsze na godzinę, na którą miał przyjść, to przyszedł.

W styczniu 1945 roku weszli Rosjanie do Częstochowy i wtedy nasz uniwersytet się ujawnił. Mam nawet legitymację, pierwszy jawny dokument: „Kursy akademickie w Częstochowie. Legitymacja szkolna nr 227. Barbara Surzyńska, ur. 22 marca 1922 r. jest uczennicą na Wydziale Humanistycznym. Częstochowa, dnia 19 lutego 1945 r.” Dostaliśmy dużą salę wykładową w gmachu szkoły handlowej, ale na bardzo krótko. Odkonano tam tylko kilka wykładów, bo profesor bardzo przyspieszał wyjazd do Poznania.

Na pierwszym wykładzie zebrało się sporo polonistów. A naprzeciw była kamienica dwu, trzypiętrowa, z której Niemcy wysiedlili Polaków. Rosjanie urządzili tam szpital polowy dla rannych żołnierzy. Widocznie ci, którzy już chodzili, tacy ozdrowieńcy, zauważyli, że dużo młodych dziewczyn idzie. Usiedli w oknach i lusterkami zaczęli świecić. Profesor Pollak miał wykład, a te światła od lusterek migały po całej sali, bo oni nas z naprzewka widzieli. Aż jedno światełko mignęło na twarz profesora i całą twarz mu oświetliło, a on się oparł o katedrę i powiedział z taką ironią: „Ex Oriente lux” – „Światło ze Wschodu”. Profesor wychowany w kulturze zachodniej, rozmiłowany we Włoszech, stworzył przecież polonistykę w Rzymie, przesiąknięty najlepszą literaturą, tej nowej cywilizacji, która weszła do Polski, tak nie lubił! Ale ze względu na to, żeby przetrwać, nigdy tego nie ujawniał.

Gdy się skończył wykład, wyszliśmy na ulicę i ogarnęło nas przedziwne uczucie. Nie wiedzieliśmy jak się zachować. Do tej pory, idąc na wykłady, milczeliśmy. I tu nagle możemy mówić, co było na wykładzie, głośno rozmawiać. Ja mówię do koleżanki: „Słuchaj, czy to rzeczywistość, czy maligna? Nie wiem, jak się mam zachować: mówić normalnie, czy w ogóle nic nie mówić”. A ona: „Nie martw się, to już jest jako taka normalność”. Ale słowa „jako taka” były znamienne. Jako taka normalność...

Idąc parę dni po tym wykładzie ulicą, widzę z daleka: zbliża się profesor Pollak w takiej długiej, lodenowej, zielonej pelerynie i jakby kiwał jakimś papierem do mnie. W jednej ręce miał kopertę, w drugiej miał list. To spotkanie nastąpiło na Alei Najświętszej Panny, na rogu tam, gdzie był znany zegarmistrz i wisiał olbrzymi zegar. Dawniej mówiło się w Częstochowie: „Gdzie się spotykamy?” „Pod zegarem”. No i stanęliśmy pod tym zegarem. A profesor Pollak mówi do mnie tak: „Proszę Pani, przyszedł list od mojego asystenta, Bogdana Zakrzewskiego, w którym pisze mi, że ledwo wojska radzieckie weszły do Poznania, on się tam zjawił. Zamieszkał przy ulicy Piekary, w przedwojennym swoim pokoju, który wdzierzał u nauczycielki muzyki. I pisze do mnie w tym liście, co następuje: wszystkie pomieszczenia w zamku ocalały, ale to, co zostało po polonistyce, jest kompletnie zniszczone. W 1945 roku dosłownie na dwa, trzy tygodnie przed zakończeniem wojny, gdy Amerykanie bombardowali Poznań, zniszczyli budynki magistratu i magistrat przeniósł swoje papiery do lokalu dawnej polonistyki. Wobec tego dostaliśmy inne pomieszczenie – przy ulicy Stolarskiej, w dawnym probostwie, które graniczyło z kościołem św. Michała, gdzie w podziemiach jest mnóstwo książek zwiezionych przez Niemców z wielkopolskich dworów. Okna są już oszklone, ławek nie ma, ale są stoły i krzesła, półki są i książki są poukładane. Nawet są wieszaki na płaszcze, i właściwie można by zacząć studia”.



Profesor, jak mi to przeczytał, spojrzął i mówi: „No wie Pani co, trzeba się będzie zbierać do Poznania”.

A ja byłam wtedy, w czasie studiów, bibliotekarką tajnej biblioteki. No, co to była za biblioteka, mieściła się w skrzyniach, jak było coś potrzeba, to koleżankom stamtąd wypożyczałam. Profesor mówi: „Niech Pani z kolegami ściągnie książki, które do nas należą, zapakuje je do tych skrzyń. Postarajcie się, żeby to można towarowym pociągiem przewieźć i pojedziemy tak do Poznania”.

Uczestnicy tajnych kompletów: druga od lewej, odwrócona, Barbara Surzyńska.

No i nastąpił ten dzień, że pojechaliśmy. Skrzynie zostały załadowane do wagonu towarowego. Na skrzyniach rozesłaliśmy koce, usiadła tam żona profesora i profesor. Profesorowa wtedy bardzo źle się czuła, a profesor z taką opiekuńczością i czułością nią się zajmował. Jechało paru kolegów, ja jechałam. Podróż trwała strasznie długo, bo to były czasy krótko po zakończeniu wojny. Więc jak jechał transport wojskowy, to nas wtedy na boczne tory odstawiano, musieliśmy nawet parę godzin czekać. No, ale wreszcie do Poznania przybyliśmy. Skrzynie zostały jakoś tam zabezpieczone przez kolegów, a na drugi dzień najeliśmy, czy też uniwersytet dał nam, samochód. Skrzynie zostały załadowane i pojechaliśmy na Stolarską. Tam czekał na nas Bogdan Zakrzewski, a mówiąc prawdę, za dwa lata mój mąż. Odebrał ode mnie książki i sporządziliśmy protokół – nie wiem, czy u was to jest? Taki protokół, gdzie mąż się podpisał jako odbierający, a ja i moi koledzy jako zdawający. Książki zostały umieszczone na Stolarskiej. Czyli był księgozbiór z podziemi kościoła św. Michała plus ten księgozbiór, który przywiozłam z kolegami z Częstochowy. Powoli, powoli zaczął się normalny tryb życia.

Nastąpiła bardzo dziwna rzecz: w czasie okupacji to myśmy jechali do Częstochowy, a teraz było na odwrót. Mianowicie koleżanki częstochowskie, które studiowały polonistykę, a miały skończone po trzy, cztery lata, przyjeżdżały teraz na Uniwersytet Poznański, żeby rok czy półtora studiować w Poznaniu i otrzymać dyplom już jawnego uniwersytetu. Tak że co jakiś czas były przywitania koleżanek, serdeczne przywitania w Poznaniu. Staraliśmy się im oddać serce za to, że wtedy u nich, w ich mieście rodzinnym, zaznaliście tyle ciepła, serdeczności i gościnności.

Postanowiliśmy w jakiś sposób podziękować też ojcu Polikarpowi. Napisaliśmy do ojców paulinów do Częstochowy z zaproszeniem ojca Polikarpa, żeby zobaczył nas, jak to się mówi, na nowych śmieciach. Już teraz nie pamiętam, czy to było w kwietniu, czy w maju, a może nawet na początku roku akademickiego już w październiku.

Proszę sobie wyobrazić, jakie to było święto. Na dworzec na pierwszym peronie przyszły wszystkie prawie komplety tajnego uniwersytetu z Częstochowy, pełno było ludzi. Koło mnie stał bagażowy i był zdumiony, że tyle ludzi jest. Z takim poznańskim akcentem pyta: „Pani, co tu tyle tych gzubów się naschodziło?” A ja mówię:” No, zobaczy pan”. A on znówu: „To jaki minister przyjedzie? Albo jaki sportowiec znany?” Za chwilę wjeżdża pociąg, otwierają się drzwi, ukazuje się wysoka postać w białym habicie. Jak ten tłum zobaczył ojca Polikarpa, cały peron zaśpiewał mu długo, długo: „Niech żyje nam”.

Koledzy moi postanowili wziąć konną dorożkę. Posadziliśmy księdza, ja pojechałam i kilku kolegów. Koledzy stanęli z boku, na stopniach, jeden z jednej strony, drugi z drugiej. Śmiałyśmy się, że ochrona jedzie. Pojechaliśmy na Stolarską. Tam poczęstowaliśmy ojca Polikarpa skromnym posiłkiem: herbatą i suchymi ciastkami. Ojciec pochodził po naszych pomieszczeniach i mówi: „No, przynajmniej wiem, gdzie teraz jesteście”. Pobłogosławił, poświęcił ten lokal, życzył nam wszystkiego dobrego i serdecznie żegnany pojechał.

Jeszcze coś Pani powiem, tak to się przypomina... Po wojnie zbieraliśmy się – uczestnicy tajnego uniwersytetu, wszystkich wydziałów, także medycyny, farmacji – w Collegium Chemicum na Grunwaldzkiej. Jeszcze władze nie były tak zsowietyzowane, działał Mikołajczyk, nie wiedzieliśmy, co z tą Polską będzie. Chociaż Jałta już zapadła, mieliśmy nadzieję, że będzie inaczej. Tak więc mieliśmy zebrania i każdy z nas po kolei referował, jak u niego było na kompletach, jak przebiegały nasze studia. I to było zapisywane. Trwały te spotkania może niecały rok. Aż pewnego pięknego dnia zjawili się w czarnych skórzanych płaszczach tak zwani smutni panowie z Urzędu Bezpieczeństwa i oświadczyli, że bardzo nam dziękują za pracę, ale proszą, żeby już zakończyć tę akcję i więcej się nie spotykać. Wszystko jest już załatwione i nasze sprawozdania pójdą do przechowania. Profesor Pollak bardzo się wtedy zmartwił i mówi: „No, tak. Wiadomo, ku czemu to idzie. Tego nie wolno, tamtego nie wolno. Dopiero nie wolno było tyle lat w czasie okupacji, dwa lata oddechu i znowu nie wolno?” Zirytował się. Ale to tylko mówił do osób bardzo bliskich. Czy te nasze sprawozdania w ogóle gdzieś trafiły? Ktoś oddawał je do archiwum, ale czy oni to zlikwidowali, tego nie wiem³. Baliśmy się potem, w czasach ostrej komuny, że jak oni mają te listy [uczestników tajnych kompletów], żeby nam to nie zaszkodziło, ale jakoś przeszło.

Po wielu latach, kiedy teraz dużo rozpamiętuję i sięgam myślą wstecz, postanowiłam napisać do Częstochowy dwa listy. Jeden list do ojców paulinów z prośbą, żeby zajęli się biografią ojca Polikarpa. Dostałam odpis, który mam tutaj, poświadczony jeszcze przez ojca przeora, gdzie napisane jest, o ile pamiętam: „Zajmiemy się postacią wielkiego ojca Polikarpa”. No, ale poza tym listem nie mam dalszych wiadomości na ten temat.

Napisałam również do prezydenta miasta Częstochowy, że w czasie okupacji Częstochowa to były takie małe polskie Ateny, prosząc go, by zadbał o pamięć o przeszłości swego miasta. Proponowałam, żeby na domach, w których odbywały się komplety,

³ Spisywane wówczas relacje ukazały się w książce *Uniwersytet Ziemi Zachodnich i tajne kursy uniwersyteckie. Pokłosie wspomnień*. Do druku przygotował J. Wikarjak. Poznań 1972. Tam opublikowano wspomnienia Barbary Surzyńskiej-Zakrzewskiej, a także listy Romana Pollaka do Stefanii Land z czasów okupacji.

narażające właścicieli tych mieszkań na bardzo duże niebezpieczeństwo, umieścić skromne tablice, że tu i tu, w latach takich i takich, funkcjonował tajny Uniwersytet Ziemi Zachodnich, komplet taki i taki, i nic więcej. Odesłał mnie prezydent do działu kultury magistratu częstochowskiego. Dostałam bardzo długi list, pełen obietnic, że się o to postarają, ale od tamtej pory dalszych informacji nie mam.



Barbara Surzyńska-Zakrzewska – urodziła się w 1922 roku w Poznaniu. W czasie wojny obsługiwała radiostację AK w Lublinie, a następnie uczestniczyła w tajnym nauczaniu licealnym w Częstochowie. Uzyskała maturę w 1943 roku, rozpoczęła studia polonistyczne na tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich (tajnym Uniwersytecie Poznańskim), które ukończyła w Poznaniu. Była pierwszą prezeską Koła Polonistów na powojennej polonistyce. Poślubiła Bogdana Zakrzewskiego, znanego później fredrologa. Barbara Zakrzewska zmarła 9 kwietnia 2015 r. we Wrocławiu.